

Jan Maciejewski: W przelocie. O nieprzemijalnej potrzebie próbowania

Zaraz obok pragnienia bliskości, zakorzenia czy sensu życia stoi uniwersalna potrzeba próbowania. Rzeczą systemów jest planować, algorytmów – kojarzyć i podpowiadać, maszyn – nie zawodzić. A właściwością człowieka jest próbować. Zgęszczać cały wysiłek woli i organizmu do jednej chwili, jednego zadania, jakby jutra miało nie być. Działać tak, jakby stawką każdego dnia, eseju, skoku była całość, a nie tylko któryś z jej fragmentów. Nie zostawiać niczego na potem – pisze Jan Maciejewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Montaigne. Czyli o sztuce eseju”.

Kto dziś kontynuuje dzieło Montaigne’a? Jeden tylko Armand Duplantis. Człowiek, którego imię i nazwisko predysponowałoby do odegrania roli średniowiecznego trubadura albo błędnego rycerza. A on tylko skacze o tyczce. Tylko?

To już teraz. Może jeszcze moment? Sprawdzę uchwyt, wyreguluję oddech. Robiłem to już tyle razy wcześniej, a w decydującej chwili wkrada się to samo złudzenie co zawsze. Diabelski podszept. Poczekaj, jeszcze nie teraz, zbierz siły, skoncentruj się, nie ma co się spieszyć. Ruszam. Pochylam tyczkę, jak rycerz kopię. Byle tylko się nie skruszyła. Wbijam ją w ziemię, napinam każdy mięsień, wznoszę się w górę, metr za metrem. Nie pamiętam czy to pierwszy ze skoków, czy ostatni. Frunę centymetr nad poprzeczką, musnąłem ją, zadrżała, ale nie spadła. Takie

próby lubię najbardziej; im bliżej było porażki, tym bliższe sercu jest zwycięstwo. To właściwe, jedyne, trwające najwyżej sekundę lub dwie, kiedy opadam w dół i odprowadzam wzrokiem wiszącą wciąż nade mną poprzeczkę. I nie wiem czy się jeszcze kiedyś spotkamy, przecież spadam w dół, po największym z wysiłków przychodzi najgłębsze odprężenie. A są tylko dwie, naprawdę pewne rzeczy w życiu: że życie kończy się śmiercią, a skok – opadaniem. Ale jeśli tu wrócę, to czekające na mnie zadanie popatrzy z jeszcze wyższej góry. Spotkamy się na kolejnym piętrze tej samej wieży. Sześć metrów, dwadzieścia jeden centymetrów. To tylko miara wysokości. Miarą zadania jest tylko to, by poprzeczka szła wciąż w górę.

Jeśli nie Duplantis, to kto? Tych kilku, pozał się Boże, sceptyków, którzy dla dodania sobie animuszu przypinają sobie jego nazwisko do klap marynarek? Dumnie wątpiących w wielkie prawdy, gorliwych wyznawców każdej głupoty, jeśli tylko spotkała się ona z przelotną akceptacją tłumów. A może inni, ci, którzy próbują uprawiać wynaleziony przez niego gatunek, próbowanie. Podobnie jak Francuz, cytują cudze myśli. Tak samo odbiegają od tematu, żeby niepostrzeżenie do niego powrócić. Muszą długo nudzić, żeby raz na jakiś czas olśnić jakąś błyskotliwą frazą. Zakończyć konkluzją, którą już za tydzień albo dwa będą w stanie podważyć. Próba ma przecież to do siebie, że można ją powtórzyć. Nie ma wniosków absolutnie pewnych, są tylko hipotezy. Obowiązujące przelotnie, między jednym podejściem a drugim. „Que sçay-je?”. Cóż ja wiem. Cóż oni wszyscy wiedzą.

Jeden po drugim, sami przebierańcy. Wątpienie skojarzyli z cynizmem, a niepokój z frustracją. W przeciwieństwie do nich, Duplantis ma to montaigne'owskie „coś”. Świadomość, że każda próba musi być wykonana tak, jakby miała być ostatnią. Sportowiec, który przemijanie

swojego ciała, zmuszanego wciąż do nowego i coraz większego wysiłku, odczuwa dużo wyraźniej od przeciętnego człowieka, zżywa się też szybciej z myślą o własnej śmierci. To dlatego tak wielu z nich nie potrafiło ułożyć sobie „życia po karierze”. Bo to już nie jest życie, tylko rozpisane na długie dekady umieranie. Śmiercią jest się zatrzymać, nie dać rady pójść o centymetr w górę. O jeszcze jedną myśl do przodu. Zadowolić się poprzednim rekordem, raz zapisanym zdaniem. A przecież granica musi istnieć, nie da się piąć wciąż w górę, podważyć wszystkich pewników, bez końca wypróbować ciało i umysł.

Dzieło Montaigne'a zaczyna się i osnuwa wokół tej jednej myśli – „filozofować jest nie co insze, jeno gotować się do śmierci”. Ta myśl nadaje energii każdej próbie z osobna i wszystkim razem. Ona zamknęła go w wysokiej wieży, kazała patrzeć z góry na świat, w którym radził sobie przecież nie najgorzej. Przez czterdzieści lat obracał się wśród królów, żołnierzy, ziemian i kobiet. Przechadzał się po dworach i tańczył na balach. A potem zapełnił komnatę książkami, zamknął się w wieży i spróbował spojrzeć na to wszystko, co oglądał przez długie czterdzieści lat z właściwej perspektywy. Punktu widzenia śmierci. Chwili ostatecznej próby.

Jest w człowieku kilka stałych, nie zmieniających się nigdy potrzeb. Różnią się tylko sposoby ich realizowania. I tak zaraz obok pragnienia bliskości, zakorzenienia czy sensu życia stoi uniwersalna potrzeba próbowania. Rzeczą systemów jest planować, algorytmów – kojarzyć i podpowiadać, maszyn – nie zawodzić. A właściwością człowieka jest próbować. Zgęszczać cały wysiłek woli i organizmu do jednej chwili, jednego zadania, jakby jutra miało nie być. Działać tak, jakby stawką każdego dnia, eseju, skoku była całość, a nie tylko któryś z jej

fragmentów. Nie zostawiać niczego na potem. Próba jest przeciwieństwem próbki. Pierwsza może się okazać bezcenna, druga – może być co najwyżej darmowa.

„Życie dniem bieżącym bez troski o jutro, bez planów lub celów, nawet świętych, z dnia na dzień i na stałym miejscu – praca, żeby tak rzecz, nie *na dzieło*, ale zlecona na godzinę. Traktowanie każdego nowego dnia jako całości samej w sobie, jako dodatku, a nie ogniwa przeszłości, wykonywanie prac, których nie można przerwać lub skrócić, gdyż są kompletne w każdej swojej części” – pisał John Henry Newman o pierwszych benedyktynach. Prekursorach Montaigne’a i Duplantisa w wielkim dziele próbowania. Tylko zawężając maksymalnie własną perspektywę, można rozszerzyć punkt widzenia swojego dzieła na wieczność. To gra o sumie zerowej. Ten, kto drobiazgowo planuje, myśli zawsze o pięć kroków wprzód, próbuje ogarniać wzrokiem całą trasę, a nie tylko najbliższy krok, tego zadanie prawdopodobnie przeminie razem z nim, a może nawet jeszcze wcześniej. Bo było obliczone tylko na jego siły, ograniczone do horyzontu jednego spojrzenia. Benedykt i jego następcy zbudowali *Christianitas*, tylko dlatego że zależało im wyłącznie na przepisaniu jednej strony, przekopaniu tej konkretnej grządki, odmówieniu części *officium* przypadającej na tę właśnie porę dnia.

Myśl, że mnie tu zaraz przecież może nie być, więc nie ma się co oszczędzać na później, zawracać głowy możliwymi scenariuszami, daje duszom, mięśniom i myślom zastrzyk intensywności nieporównywalnej z tą, jaką dostarczyć może jakakolwiek inna substancją. Śmierć to błogosławiony narkotyk. Najbardziej naturalna z substancji. Nie trzeba jej sprowadzać z żadnego dalekiego kraju, każdy z nas rodzi się wyposażony w jej odpowiednią, codzienną dawkę.

„Kto nauczył się umierać, ten odczytał się służyć”. Ten, to zapewne miał tu na myśli Montaigne, podąży szlakiem własnego dzieła. Świadomość własnej przemijalności pozwoli mu stworzyć coś nieśmiertelnego. Rekord, myśl albo cywilizację wyznaczające własne miary, a nie stworzone według planu tego czy tamtego. Niejedna poprzeczka wcześniej spadnie, niejedna godzina zostanie zmarnowana i dużo więcej niż jedna myśl podąży ślepą uliczką, tak, że jedynym sensownym wyjściem będzie spalenie kartki, na której została utrwalona. Takie jest dobrodziejstwo tego inwentarza. Porażka czai się w tle każdej próby tuż obok śmierci. Podobnie jak ona nadaje smaku końcowemu triumfowi.

Najważniejsze jest ujęcie kamery znad poprzeczki. W zwolnionym tempie widzimy w nim wyrazy twarzy opadającego Duplantisa. Właśnie ustanowił kolejny rekord świata, o centymetr poprawił własny wynik. Ale w jego oczach nie ma triumfu, zniknęło też całe napięcie jakie towarzyszyło mu w czasie przygotowań do skoku. Jego twarz zastyga w wyrazie nostalgii. Co z tego, że się udało, skoro teraz opadam w dół? Wyszedłem z próby zwycięsko, ale nie liczy się rekord, tylko wysokość. Te sześć metrów, dwadzieścia jeden centymetrów jest moim domem. Już za sekundę będę skakał z radości i pozował do zdjęć. Ale dajcie mi jeszcze przez chwilę potęsknić. Tam wysoko jest tak pięknie.

Doskonałość zdania, wysokość skoku, gorliwość życia są wartościami samymi w sobie. Pamięć potomnych, ustanowienie rekordu czy zbudowanie cywilizacji, to wszystko co się z nich rodzi i tam znajduje swój początek, jest tylko efektem ubocznym. Pierwotnym doświadczeniem, chwilą prawdziwego życia i głębokiego szczęścia, jest tylko próba. Proste „tak” lub „nie”. Po którym zawsze, niezależnie od wyniku, pada to samo pytanie. „Czy mogę spróbować raz jeszcze?”

Jan Maciejewski

Foto: ARND WIEGMANN / Reuters / Forum

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury –
państwowego funduszu celowego.*



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego